

Sztuka domowa

Opowieści mojej żony Mirosława Żuławskiego w reżyserii Adama Hanuszkiewicza doczekały się powtórzenia, i to w ramach I programu TV. Jest to, w naszych kategoriach telewizyjnych, awans. Mimo że programowo, jak się zdaje, nie zakłada się zasadniczej różnicy pomiędzy programem I i II (choćby myśl o tym, aby program II był dla widzów nieco lepiej przygotowanej, cieplejszej i o bardziej wysmakowanych upodobaniach nie wydaje się piszącemu te słowa wstrętą), to jednak program I, chociażby ze względów technicznych, ogląda nieporównanie więcej ludzi, niż program II. A to pociąga za sobą, choćby mimowiednie, rozliczne konsekwencje. To, czego boimy się nieraz pokazać w programie I: („bo nikt nie zrozumie”), pokazuje się w programie II, gdzie jak się później okazuje, wszyscy wszystko doskonale rozumieją.

Wznowienie *Opowieści mojej żony* w programie I oznacza więc pewną decyzję, której nie sposób nie przyklasnąć. Oznacza po prostu iż uznano te gawędy spokojne, refleksyjne, na pozór niedramatyczne, za widowisko które mogą obejrzeć również, ku swemu pożytkowi, widzowie meczów futbolowych.

Na pewno obejrzą je początkowo ze zdumieniem. Część z nich wzruszy ramionami i zacznie gorączkowo poszukiwać czegoś innego, może nawet w programie II. Ale większość się wciągnie i przez piętnaście tygodni pozostanie już przy *Opowieściach*.

Jestem dosyć daleki od tego, aby w *Opowieściach mojej żony* dopatrywać się

absolutnej rewelacji z punktu widzenia rzemiosła telewizyjnego czy też form, które określiłem kiedyś w tych felietonach jako „twórczość telewizyjną”. Są to raczej scenki skromne, z bardzo dobrym, inteligentnym aktorstwem (Zofia Kucówna, Adam Hanuszkiewicz) i z dosyć zdawkową inscenizacją. Ich znaczenie polega na czymś innym — na ich klimacie obyczajowym i kulturalnym.

Proszę zwrócić uwagę na rzecz pozornie oczywistą, ale przecież niezwykłą: bohaterowie tych scenek siedzą w domu, myślą i rozmawiają ze sobą. Proszę mi powiedzieć, ile jest takich domów w Polsce, gdzie ludzie, na wpół pogrążeni w swoich zajęciach, potrafią zagadnąć się zniemacka: „o czym myślisz?” i otrzymać odpowiedź świadczącą, że zapytana osoba istotnie o czymś myśli i to w dodatku o czymś takim, czym chciałaby się podzielić ze swoim partnerem?

Nasze domy w skali masowej podlegają rozkładowi. Są miejscami do spania, jedzenia, do odrabiania lekcji przez dzieci, do szukania sobie swojego kąta, żeby być samym i odpocząć, do pracy. Być może dzieje się tak dlatego, że są one za ciasne. Ale dzieje się tak również dlatego, że zbyt mało kulturywujemy inne funkcje domu — jego funkcje intelektualne, kulturalne, towarzyskie, lecz właśnie ograniczone do najbliższego kręgu osób, tych, które mieszkają pod jednym dachem.

Tradycja, z której wyrasta dom, pokazany przez Żuławskiego, jest niewątpliwie tradycją ziemianką. Autor zresztą nie ukrywa tego, że większość *Opowieści mojej żony* sięga czasów, gdy bohaterowie tych opowiadań mieszkali na wsi, we względnym dobrobycie, w ciszy, jaką daje oddalenie od innych ludzi nie cienką ścianką mieszkania, ale murami własnego domu. Tradycje długich, wieczornych, niespiesznych rozmów, biorą się z obyczajowości wiejskiej, gdzie wieczory są rozwekłe, a czasu, zwłaszcza zimą, dużo. Z tej samej tradycji wyrasta angielski zwrot „my home is my castle” — mój dom

jest moją twierdzą — co nie znaczy wcale, że jest on niedostępny dla obcych (wystarczy sobie tylko przypomnieć gościnność wiejskich domów angielskich, którą opisuje *Klub Pickwick!*), ale co znaczy, że w murach tej twierdzy panuje jej własny ład, porządek i wewnętrzne prawo. Że ludzie w niej mieszkający są, jak w twierdzy, samowystarczalni towarzystwo, intelektualnie, kulturalnie. Że, skazani na siebie, muszą być także skazani na wzajemny szacunek.

Opowieści mojej żony, przy całym swoim wdzięku, a miejscami także dowcipie, są przede wszystkim, jak sądzę, propozycją obyczajową. Propozycją zastanawiającą właśnie przez to, że tak kontrastującą ze wszystkim, co stanowi praktykę życia domowego wielu (żeby nie powiedzieć: większości) naszych domów lecz z tej samej właśnie przyczyny godną przemyślenia. Myślę, że oglądane przez widzów programu I mogą stać się materiałem do przemyśleń. Jest to bowiem po prostu model życia innego niż to, które prowadzimy na codzień, ale niewątpliwie życia lepszego i bardziej wartościowego.

Telewizja, sztuki wizualne, nauczyły nas wszędzie poszukiwać akcji, zdarzenia, dramaturgii. Hoff napisał (napisała?) kiedyś w *Szpilkach*, iż współczesny człowiek tak dalece przyzwyczajony jest do oglądania widowisk, że jeśli nagle znajdzie się na wsi, na polanie lub na łące, to oglądając krajobraz już po chwili czeka z niecierpliwością, kiedy na tę scenę wyjdą bohaterowie i zaczną się coś dziać. Ale telewizja jest również sztuką domową, widowiskiem kameralnym, adresowanym nie tylko — o czym się ciągle powtarza — do milionów widzów, ale także — o czym się często zapomina — do kilku widzów, siedzących w domu w miękkich pantoflach. I dobrze jest chyba, jeśli ta sztuka domowa proponuje także kwadrans zastanowienia, jakim mógłby być — a może być powinien? — dom.